

...za pół godziny koło McDonalda

Moja kawalerka w kamienicy z okresu międzywojennego wydawała się rajem po całonocnej gołgocie.

Miałam gdzieś rachunek za wodę. Ułożyłam się wygodnie w wannie i leżałam tak, dopóki nie zaczęły mi się kleić oczy, a potem zanurzyłam się naga w pachnącej pościeli. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to pisanie sms-a z prośbą o usprawiedliwienie mojej nieobecności w pracy.

Obudziłam się po dziesiątej z czystym i jasnym umysłem.

Wczorajszy dzień nie był może taki, jak go sobie zaplanowałam, nie miał jednak żadnych tragicznych następstw – oczywiście prócz zakrwawionych i prawdopodobnie zniszczonych ciuchów.

W łazienceostałam chwilę w zadumie przed lustrem.

Koleżanki często powtarzają, że zazdroszczą mi wyglądu. Wysoka, szczupła, piersi co prawda nieco za małe, ale większe przeszkadzałyby mi przy skakaniu i w ogóle w ruchu. Może jestem też zbyt umięśniona – to wina sportu albo po prostu taka budowa ciała. Ale jak to się, do cholery, stało, że te same koleżanki znalazły już w miarę przyzwoitych facetów, a ja ciągle jestem sama?

Odepchnęłam od siebie te przemyślenia, zanim zaczęły jadownicie kasać i zatruwać umysł.

Zwolniłam się z porannych zajęć na temat wpływu długotrwałego wysiłku ruchowego na ekstremalne stany fizjologiczne, ale na popołudniowe zamierzałam iść.

Choć zarobki asystenta na uczelni nie są szczególnie atrakcyjne, nie mogłam sobie pozwolić na stratę tego źródła dochodów.

Włożyłam zwykle bawełniane majtki, wypłukałam wczorajsze koronkowe cudeńka, wskoczyłam w dzinsy, T-shirt i bluzę z polaru. Przed zajęciami chciałam wyskoczyć jeszcze na godzinkę aerobiku i trochę się porozciągać w siłowni. Większość moich rzeczy została u Jurka, ale nawet po trzech miesiącach nie miałam ochoty się z nim kłócić.

Zakrwawione bolerko, halkę i krótką spódnicę wepchnęłam do torby. Miałam nadzieję, że nie wyrzucą mnie z pralni, kiedy to zobaczą. Krew zdążyła już zbrązowieć i wyglądała jak każde inne zabrudzenie. Wyleciała mi przy tym wizytówka, którą dostałam od tego chłopaka. Widniało na niej nazwisko Josef Josifowicz Gubkin i numer komórki.

Przez chwilę się wahałam, ale w końcu sięgnęłam po telefon, sprawdziłam stan konta i zadzwoniłam.

– Słucham? – odezwał się ktoś przyjemnym barytonem. Przyjemnym i ciekawym.

Dotarło do mnie, że właściwie nie wiem, co powiedzieć. Cała wczorajsza noc jawiła się jakby odrobinę nierzeczywista.

– Dzwonię do pana w sprawie pewnego młodego człowieka. W zasadzie nawet nie wiem, jak on się nazywa.

Wczoraj został zatrzymany przez policję, a ten numer dał mi jako kontakt do swojego prawnika. Chciałabym tylko zapytać, czy udało mu się z panem skontaktować.

– Nie dzwonił do mnie – usłyszałam po krótkiej pauzie.

– Byłbym zobowiązany, gdyby zechciała pani przedstawić zaistniałą sytuację bardziej szczegółowo. Zawahałam się.

– Wczoraj spędziłam całą noc na posterunku policji. Nie chciałabym ciągnąć tej sprawy dłużej niż to konieczne – spróbowałam odmówić. – Wydam polecenie, by przyjechał pod pani mieszkanie samochód z szoferem, a z mojej kancelarii zostanie pani odwieziona, gdzie tylko sobie pani zażyczy.

Tyle mogłam zrobić dla chłopaka, dzięki któremu nie miałam wczoraj większych problemów.

– Dobrze, poczekam na pańskiego człowieka na Vodiczkowej przy McDonalddie.

– Jak panią rozpozna?

– Jak ja go rozpoznam? – odbiłam piłeczkę.

– Oczywiście, rozumiem. Czarny płaszcz, czarny kapelusz, wysoki, opalony. W ręku będzie miał gazetę zwiniętą w rulon.

– Dobrze, za pół godziny koło McDonalda – ostatecznie potwierdziłam i przerwałam połączenie.

Wystarczyła jedna rozmowa, żeby się znaleźć w samym środku akcji jakiegoś filmu sensacyjnego. Prawie mnie to rozśmieszyło.

Rozpoznałabym kierowcę i bez tej gazety. Wyglądał jak typowy czarny charakter z westernu z lat sześćdziesiątych. Samochód, do którego otworzył mi drzwi, bezczelnie tarasował drogę tramwajowi.

– Praga jest strasznie zakorkowana. Trochę potrwa, zanim dojedziemy do gabinetu pana Gubkina – powiedział, kiedy wsiadł zaraz po mnie do samochodu. – Jeśli ma pani ochotę, może się pani posilić czymś z minibaru – zaproponował, a następnie skupił się już tylko na prowadzeniu.

Mówił z jakimś dziwnym, ledwo wyczuwalnym akcentem. Nie potrafiłam wywnioskować na jego podstawie, skąd pochodził ten facet.

Silnika prawie nie słyszałam, a hałas generowany przez ruch uliczny był mniej uciążliwy niż u mnie w domu. Delikatny szum klimatyzacji, w powietrzu subtelna woń wypalonych cygar i likieru, którą prawdopodobnie nasiąkała tapicerka. Sięgnęłam do baru, żeby nie czuć się jak mała dziewczynka w czasie wizyty u wujka.

Pełen zestaw alkoholi i cygar. W lodówce znalazłam kawę mrożoną, na którą poczułam nagle dziką ochotę.

Droga zajęła nam ponad pół godziny. Kancelaria pana Gubkina znajdowała się w jednym z domów na Małej Stronie, w pobliżu japońskiej ambasady. Za drzwiami wejściowymi, doskonale dobranymi do utrzymanej w klasycznym stylu fasady, czekał ochroniarz. Zaprowadzono mnie do przedpokoju, w którym urzędowała sekretarka.

Meble, dystygowana asystentka, na ścianach obrazy – wszystko to stanowiło immanentną część panującego tu przepychu. Kobieta zmierzyła mnie z góry na dół badawczym wzrokiem, nacisnęła kilka przycisków na pulpicie i natychmiast otworzyły się drzwi po jej lewej stronie.

Pojawił się w nich niski, korpulentny mężczyzna w znakomicie skrojonym garniturze.

– Jestem zaszczycony, że zechciała pani przyjąć moje zaproszenie – powiedział, kłaniając się.

W dżinsach i polarze nawet nie pretendowałam do miana damy, ale zarówno on, jak i jego pracownica zachowywali pełną powagę.

W związku z tym ja też postanowiłam być maksymalnie poważna.

Przy obowiązkowej w takich sytuacjach kawie, która smakowała mniej więcej trzykrotnie lepiej od tej na komisariacie, opowiedziałam o wczorajszym zajściu. Gdy tylko skończyłam, facet podniósł słuchawkę i połączył się z jakimś oficerem policji. Sądząc po rozmowie, wysoko postawionym w policyjnej hierarchii.

– W porządku, zakładam, że wszystko jest tak, jak mi pan powiedział. Jeden z moich pracowników stawi się po pana Alexandra. Z niecierpliwością czekam na niedzielną partyjkę golfa – zakończył rozmowę Gubkin. – Alexander nie prosił o prawnika. Właściwie, jeśli mam być szczery, nie przejawiał zbyt dużej ochoty do rozmów na komisariacie – zdradził mi. – Pani wizyta była dla nas nieoceniona, madame. Gdyby potrzebowała pani porady prawnej bądź jakiegokolwiek innej pomocy, będzie pani łaskawa zwrócić się bezpośrednio do mnie. Numer telefonu, który otrzymała pani od Aleksa, proszę sobie zostawić, ale nikomu go nie dawać. Jest, ekhm, bardzo prywatny.

Forma pożegnania nasuwała skojarzenia z brazylijską telenowelą – szofer pana Gubkina zawiózł mnie zgodnie z obietnicą do Podolii, dzięki czemu miałam jeszcze czas na godzinkę aerobiku u Svietylany. Potem poćwiczyłam jeszcze trochę w klubie fitness, poszłam do sauny i tramwajem pojechałam na zajęcia. Studenci byli zawiedzeni, że nie mam spódnicy, studentki szeptały między sobą, że ktoś musiał mi porządnie przetrzepać tyłek, skoro nie pokazuję „tych swoich nóg”. Chociaż jeden plus.

Całe popołudnie pisałam pracę związaną z grantem, dzięki któremu mogłabym wyjechać w Andy. Zdażyłam jeszcze odrzucić zaproszenie na bilard. Mieli się tam spotkać ludzie z naszego klubu wspinaczkowego, ale wszyscy byli w parach – jako singiel źle bym się między nimi czuła.

Ze szkoły wyszłam dopiero wieczorem. Rozejrzałam się, minęłam przystanek tramwajowy i ruszyłam piechotą na następny. Natężenie ruchu na ulicach o tej porze malało, a ja potrzebowałam spaceru, żeby się pozbyć podłego nastroju. Piątki są najgorsze. Wszyscy gdzieś się bawią, a ja jestem sama.

Kiedy przechodziłam przez jezdnię, zorientowałam się, że śledzi mnie facet w dzinsowej marynarce. Zauważyłam go już w szkole, kiedy czytał coś na tablicy ogłoszeń. Znajdował się blisko, gdybym weszła do tramwaju, z pewnością zdążyłby za mną wskoczyć. Założyłam plecak na obydwie ramięczki i wydłużyłam krok. Nauczyłam się szybko chodzić już jako mała dziewczynka. Było jeszcze zbyt jasno, żeby się poważnie bać. A nawet jeśli, to co? W domu zawsze mieli do mnie pretensje, że jestem przesadnie i niezdrowo odważna.

Przez cały czas utrzymywałam taki sam dystans. Mój ogon poruszał się jakoś tak niezgrabnie. Jego ruchy wyglądały na coś pomiędzy chodem a klusem, jak u ludzi, którzy za nic w świecie nie chcą biegać. Wzruszyłam ramionami.

Miałam na sobie trampki i dzinsy, właściwie dlaczego by go nie przećwiczyć?

Obejrzałam się po kilku krokach. Biegł za mną! Było mu wszystko jedno, czy go zobaczę, czy nie? To mnie zaniepokoiło. Narzuciłam regularne tempo. Zdecydowałam się po prostu zwiększyć dystans i wskoczyć do jakiegoś tramwaju. O dziwo, cały czas utrzymywał tę samą odległość! Przyspieszyłam i biegłam tuż przy krawędzi chodnika, żeby nie kluczyć pomiędzy przechodniami.

Wyregulowałam oddech, na czole pojawiły się pierwsze krople potu. Nie mógł wytrzymać długo tego tempa. Ja – dwa, trzy kilometry na pewno. Nie zwracałam uwagi na pełne zdziwienia spojrzenia i robiłam minę, jakby bieganie po ulicach wśród spalin stanowiło dla mnie część codziennej aktywności. Nareszcie przystanek.

Już chciałam wsiąść do tramwaju, ale zauważyłam go w identycznej odległości jak na początku naszej zabawy w ganianego.

Twarz blada i obojętna, jakby to szatańskie tempo nie kosztowało go zbyt wiele wysiłku. Musiał być w doskonałej formie, choć wcale na takiego nie wyglądał.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zacząć krzyczeć, ale stwierdziłam, że to bez sensu. Co powiem – że mnie ten facet goni? Zwolniłam. On też. Przestałam biec.

On też. Właściwie do domu nie miałam już daleko. Jeśli chciał mi coś przekazać, to z pewnością nie na ulicy przy świadkach. A może tylko sprawdzał, gdzie mieszkam? Ta myśl zdenerwowała mnie jeszcze bardziej.

Zatrzymałam się i odwróciłam w jego stronę. On też się zatrzymał. Stał dziesięć, piętnaście metrów ode mnie z rękami w kieszeniach i pochyloną głową. Niski, kręcone włosy, żylasty, ale na sprintera nie wyglądał. Sięgnęłam do plecaka po gaz łzawiący, ukryłam pojemnik w dłoni i ruszyłam w jego stronę. Matka zawsze twierdziła, że jestem wariatką. Poniekąd podzielałam jej opinię.

Zmieszał się, odwrócił i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Ulżyło mi. Zniknął za rogiem, a ja błyskawicznie skręciłam w jakąś boczną uliczkę, potem na następnej krzyżówce jeszcze raz. Pozbyłam się go albo on pozbył się mnie.

Nieco spokojniejsza wróciłam do domu. Gdy tylko wbiegłam na piętro, zdębiałam – przed drzwiami mojego mieszkania siedział jakiś facet. Musiał już bardzo długo czekać – drzemał z głową opartą o drzwi. Na oczy miał zsunięty kapelusz.

Sięgnęłam do kieszeni po gaz łzawiący i niechcący brzęknęłam kluczami. To go obudziło. Poruszył się i uchylił rondo kapelusza. Rozpoznałam chłopaka, którego spotkałam wczoraj w tak niemiłych okolicznościach.

– Dzień dobry, nazywam się Alexander Rubin. Przyszedłem do pani – zawahał się – podziękować za to, co pani dla mnie zrobiła – dokończył i wstał.

Był młody, ale nie aż tak, jak mi się wczoraj wydawało. Moje pierwsze wrażenie wynikało zapewne z jego postawy i trochę naiwnego, czy może raczej niewinnego spojrzenia.

– Nie poszłaby pani ze mną na kolację?

Powiedział to bez ogródek, prosto z mostu, z rozpaczliwym błaganiem w oczach.

Zawahałam się. Byłam brudna i spocona, właściwie go nie znałam, ale z drugiej strony czemu nie? Intrygował mnie, poznałam go w bardzo ciekawych okolicznościach.

– A zaczeka pan na mnie? Na zewnątrz – uściśliłam.

– Oczywiście, z przyjemnością – odparł z uśmiechem.

Zostawiłam go na korytarzu i wbiegłam do mieszkania.

Wzięłam prysznic, naciągnęłam ciemnobrązowe pończochy ze szwem, prezent od mamy na

imieniny, założyłam ulubioną spódnicę i nałożyłam tapetę. Już dawno nikt mnie nie zaprosił na kolację, a mówiąc ściślej, nikt, kogo zaproszenie bym przyjęła. On spłacał swój wczorajszy dług, a ja chciałam to wykorzystać. W każdym razie był co najmniej tajemniczy. Po niespełna półgodzinie wyszłam na zewnątrz.

Ciągle siedział na schodach, mój widok wyrwał go z zadumy.

Badawczo, prawie jak laborant obserwujący preparaty pod mikroskopem, otaksował mnie wzrokiem.

– Bardzo pani w tym ładnie – ocenił z uśmiechem.

Był dziwny. Był inny. Widział mnie, krótką spódnicę, dopasowany do niej żakiet do pasa, bluzkę podkreślającą biodra, z linią stanika, a jednocześnie jakby nie widział.

Kobiety – a przynajmniej ja – nie interesowały go.

– Idziemy? – odpowiedziałam na jego uśmiech.

Po schodach szedł pierwszy i przytrzymał mi drzwi, kiedy wychodziłam. Uroczo staroświecki.